

Czy warto wrócić do Polski? To zależy!

Na stronie powrotnik.eu trafiam na artykuł pod tytułem "Czy warto wrócić do Polski?" (autorem jest Łukasz, pomysłodawca i współzałożyciel strony) oraz sondę z tym pytaniem i trzy możliwe odpowiedzi:

„Tak, teraz jest na to dobry moment.” / „Nie, z pewnością nie warto.” / „Tak, ale jeszcze nie teraz.”

Nie zakreślałam żadnej, bo uważam, że jedyną sensowną odpowiedzią jest „To zależy”. A zależy od wielu czynników natury ogólnej i szczegółowej.

Do bodaj najważniejszych z tych ogólnych należy rosnąca niepewność na polskim rynku pracy. Stopa bezrobocia jest wysoka, tendencja wzrostowa, coraz więcej ludzi pracuje na tzw. umowach śmieciowych, czyli musi godzić się na niskie wynagrodzenie w połączeniu z redukcją świadczeń socjalnych o braku zdolności kredytowej nie wspominając.

Jeśli dodać do tego bałagan w służbie zdrowia, uzasadnione zastrzeżenia do wymiaru sprawiedliwości oraz pogłębiającą się przepaść między nielicznymi bogatymi i coraz liczniejszymi biednymi, to sytuacja faktycznie nie wygląda najweselej.

Jeśli jednak przyrzeć się temu w kontekście sytuacji ogólnoświatowej, to widzimy, że kryzys neokapitalizmu jest nie tyle kryzysem ile równią pochyłą i pytanie zachodzi, gdzie lądowanie będzie najłagodniejsze, a gdzie najtwardsze. Bo może w Polsce dla Polaków nie będzie aż tak źle?

Aktor Andrzej Grabowski na pytanie, co w Polsce kocha najbardziej, odpowiedział, że brak wielkich katastrof natury typu trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, tsunami czy huragany... Szczęśliwie nasze położenie geograficzne jest dla nas dość łaskawe (no, może z wyjątkiem powodzi).

Czyż nie podobnie jest z sytuacją gospodarczą Polski? Nie należymy do krajów najbogatszych, ale to chroni nas od wielkich wstrząsów w świecie finansów. Chroni nas też od napływu imigrantów z innych, niekoniecznie kompatybilnych z naszą kulturą. Nie jesteśmy krajem docelowym dla rzesz szukających lepszych warunków życia z Azji, Afryki czy Ameryki Południowej.

Żeby była jasność, nie mam nic przeciwko barwnej wielokulturowości i życzę wszystkim znalezienia swojego optymalnego miejsca na ziemi. Faktem jest jednak, że tarcia kulturowe są poważnym wyzwaniem dla Zachodu. Nie jestem pewna, czy Polska poradziłaby sobie z takimi problemami, jakie mają choćby Niemcy, Francja, Wielka Brytania czy kraje skandynawskie najdłużej ćwiczące się w tolerancji (z różnymi zresztą skutkami jeśli wspomnieć choćby książkę Thilo Sarrazina, „Niemcy likwidują się same” z roku 2010, czy tragiczne zamachy w Oslo i na wyspie Utøya 22 lipca 2011 roku)...

Ale w obliczu widma bezrobocia dla tubylców automatycznie pogarsza się sytuacja imigrantów, w tym Polaków. Mamy już negatywny przykład w Holandii (antyimigracyjna w tym antypolska strona założona przez ultrapravicowego polityka Geerta Wildersa w lutym 2012 roku, choć, jak się dowiadujemy, właśnie zamknięta).

Polacy są wprawdzie w znacznie lepszej sytuacji, niż egzotyczni imigranci z krajów nieeuropejskich, pytanie jednak jak długo?

Łukasz bezlitośnie wytyka nam nasze narodowe wady: „Niestety nie mamy zbyt dobrego wizerunku na świecie. W większości krajów mają nas za złodziei, kombinatorów, lekkoduchów, chuliganów, pijaków i rozrabiaków /.../, a w najlepszym wypadku za tanią siłę roboczą. Nie mamy się czym pochwalić, nie jesteśmy sławni z żadnego powodu.”

Może nie jest aż tak źle, indywidualnie bardzo nam się różnie układa w świecie. Wielu z nas zarabia na życie uczciwą pracą, płaci podatki i wychowuje swoje potomstwo na lojalnych obywateli krajów zamieszkania. Niektórzy robią autentyczne kariery. Jednak faktem jest, że en masse nie radzimy sobie aż tak dobrze jak choćby Chińczycy, od pokoleń przyzwyczajeni do maksymalnego wysiłku w pracy i nauce. Polskiemu Greenpoint w Nowym Jorku czy dzielnicy Jackowo w Chicago daleko do dynamicznych Chinatown w światowych metropoliach.

Wygląda na to, że łatwiej nam włączyć się w istniejące struktury, niż samemu je tworzyć. Ponoć się to zmienia, ale nadal ciąży na nas piętno niegospodarności czyli pogardliwe „polnische Wirtschaft”. Niestety, co raz dające znaczenie w różnych polskich przedsięwzięciach w samej Polsce, jak choćby ostatnio w wadliwych pasach startowych na nowym lotnisku w Modlinie pociągających za sobą bałagan komunikacyjny i ogromne straty materialne.

Dla porządku muszę też dodać do listy naszych polskich wad coś, o czym zapomniał Łukasz, a co jest moim zdaniem jedną z naszych kardynalnych wad, mianowicie niska kultura na drogach. Na naszych drogach ginie rocznie ok. 5 tysięcy ludzi, co czyni Polskę najniebezpieczniejszą w całej Unii Europejskiej pod tym względem i jest to sytuacja dramatyczna.

Jeżeli cokolwiek możemy się pochwalić, bo jednak czymś możemy, to zdolnymi informatykami, bo, podobnie jak w przypadku Hindusów, struktury naszych języków niespodziewanie okazały się sprzyjające w tej dziedzinie. Stąd nasze sukcesy w różnych międzynarodowych konkursach, o ile trafi na pracowitych informatyków, co z satysfakcją odnotowuję. Może nie jesteśmy z tego powodu aż sławni, ale o ile wiem, chętnie zatrudniani.

Do tego, jaki jest nasz, polski, wkład w rozwój cywilizacji, z czego my, Polacy, możemy być dumni, jeszcze wróć, teraz chciałabym zatrzymać się na krótko nad historią polskiej emigracji jako takiej.

Ogólnie przyczyny emigracji można pogrupować na cztery rodzaje: polityczna, gospodarcza, osobista i przypadkowa.

Po powstaniu listopadowym mamy XIX-wieczną falę tzw. Wielkiej Emigracji, czyli wyjazd z Polski pod rozbiarami z powodów patriotyczno-politycznych (pozostanie w kraju groziło poważnymi sankcjami).

Zaraz po drugiej wojnie światowej wielu Polaków wyjechało lub zostało tam, gdzie zaskoczył ich koniec wojny z powodów politycznych, a konkretnie nieakceptacji ustroju jaki nastał w Polsce.

Tzw. emigracja pomarcowa to wymuszona emigracja w latach 1968-71 związana z polityką usuwania od władzy i intratnych stanowisk obywateli polskich o korzeniach żydowskich i ich rodzin czy to żydowskich, czy nie. Szacuje się, że Polskę opuściło wtedy ok. 15 tysięcy obywateli.

W latach 80. ma miejsce emigracja solidarnościowa, zależnie od indywidualnych życiorysów w różnych proporcjach polityczno-gospodarcza. Ludzie wyjeżdżali, bo stan wojenny pogłębił brak perspektyw dla społeczeństwa późnego PRL-u a na półkach sklepów ostał się przysłowiowy ocet i musztarda. Kraj opuściło wtedy co najmniej milion Polaków - z czego część wróciła po '89 roku. Jednak inna grupa z kolei właśnie wtedy wyjechała w celu poprawienia sobie swojej sytuacji ekonomicznej - bo zmiana ustroju umożliwiła wreszcie dostęp do paszportów.

Ostatnia fala wyjazdów po roku 2004 to migracja zarobkowa do krajów Unii Europejskiej ułatwana otwarciem granic, posiadaniem paszportów na stałe, różnymi oficjalnymi umowami o zatrudnieniu, podatkach i świadczeniach socjalnych między Polską a innymi krajami UE, jednym słowem normalizacja, jednak niepozbawiona pułapek w postaci oszukańczych biur zatrudnień wysyłających ludzi do nielegalnych obozów pracy pozbawiających ich praw wszelakich.

Ocenia się, że liczba Polaków w świecie to 1/3 Polaków w ogóle. Poza granicami Polski żyje ponad 20 milionów osób pochodzenia polskiego, w Polsce mamy prawie 40 milionów obywateli. Wśród tych 20 milionów zagranicznych Polaków mamy też niemałą grupę tych, którzy znaleźli się poza Polską z przyczyn czysto osobistych, uczuciowych i rodzinnych, a także przygodowych i przypadkowych. Tę ostatnią grupę - osobisto-przygodową - najtrudniej ująć w statystyki.

W statystykach nie ma zapewne również takich Polaków jak Roman Polański, który z racji urodzenia jest obywatelem francuskim, z racji pochodzenia Żydem, z racji wychowania Polakiem a z racji światopoglądowej obywatelem świata (z wyłączeniem USA i krajów, które by go Stanom wydały).

Jeśli przyjrzeć się mapie świata z rozproszonymi po świecie Polakami, to widzimy, że Polacy są prawie wszędzie. Te (dobre) 20 milionów to 20 milionów indywidualnych historii wpisanych w historie krajów, w których przyszło im mieszkać i historię świata. I, tak jak ich drogi życiowe doprowadziły ich do miejsc, gdzie mieszkają, tak ich niepowtarzalne losy mogą zawrócić ich z powrotem do Polski. Zależy od tego, jak ułożyło im się życie, jakie oczekiwania od życia mają i jakie charaktery nimi powodują.

Pytanie „Czy warto wrócić do Polski?” dotyczy ich w tak różnym stopniu, w jakim ich losy i oni sami są różni.

Gazeta Wyborcza opublikowała właśnie ranking „Gdzie najlepiej się urodzić w 2013 roku?” wg „The Economist” w zestawieniu z podobnym rankingiem z roku 1988 dla porównania. Jak czytamy, ranking opiera się na 11 kryteriach i to zarówno obiektywnych jak i subiektywnych w skali 0-10. Te kryteria to: czynniki demograficzne, geograficzne, społeczne, kulturowe, PKB na głowę mieszkańca, inflacja, koszty życia, przestrzeganie praw człowieka, średnia oczekiwana długość życia, analfabetyzm, odsetek ludności w szkołach wyższych...

Mimo że takie rankingi pozostawiają wiele do życzenia (a już ten szczególnie, jeśli zważyć, że w '88 roku Polska była przed Danią, dziś na 5 miejscu), przyjrzyjmy się mu, w końcu dla powracającego taka prognoza na przyszłość obejmująca 20 lat od urodzin do osiągnięcia dorosłości jest bardzo interesująca. Nie jest on wprawdzie noworodkiem, ale przez te 20 lat ma funkcjonować jako człowiek dorosły, być może rodzic noworodka.

W roku 2013 Polska ma 6,66 punktu i jest na 33 miejscu. W roku 1988 miała 6,7 punktu, czyli praktycznie bez zmian, ale plasowało ją to wtedy na 23 miejscu, 10 oczek wyżej (tuż za ZSRR). Trudno dociec dlaczego (w '88 roku jeszcze nie było wiadomo, że w '89 roku PRL, a w '91 ZSRR się skończą)... dość na tym, że pierwsze miejsce dziś zajmuje Szwajcaria a ostatnie, 80., niewidoczne w tabeli, Nigeria, z czym trudno się nie zgodzić. I w 2013 roku Dania jest na 5. miejscu o 28 oczek wyżej niż Polska i 23 wyżej niż w roku '88, co już na oko wydaje się być znacznie bliższe jakiegoś sensu bez względu na kryteria.

Tak czy tak, wygląda na to, że Polska jest w pierwszej połowie świata i mniej czy bardziej w środku tej połowy. Do roku ca. 2033 Polska powinna nie przeżywać większych wahań, co zgadzałyby się z moim wyjściowym nawiązaniem do wypowiedzi Andrzeja Grabowskiego, że kocha Polskę za brak katastrof naturalnych (i - co już dodałam ja: per analogiam - gospodarczo-społecznych).

I, jak jesteśmy przy narodzinach, nasi rodzice mogą w jakimś stopniu zdecydować o miejscu naszych urodzin, my natomiast nie mamy na to najmniejszego wpływu. Rodzimy się w jakimś jednym miejscu na świecie i koniec, musimy się z tym pogodzić... lub przyjąć to za dobrą monetę.

Peruviański pisarz, noblista Mario Vargas Llosa miał w młodości za złe losowi, że nie urodził się w Paryżu, centrum kultury w latach 50. Ale z wiekiem zaczął doceniać, jakie przywileje dają urodziny na peryferiach cywilizacji (choć może nie w samym ogonie, skąd rzeczywiście trudno się wygrzebać). Otóż paradoksalnie ma się wtedy szersze horyzonty, bo tak czy tak dąży się do centrum, będąc zarazem bogatszym o znajomość całkiem innego wycinka świata (a zauważcie, że Peru nawet nie ma w pierwszej 40. w rankingu „The Economist”).

Tak właśnie postrzegam fakt narodzin w Polsce. Jako przywilej. Z perspektywy polskich doświadczeń - w moim przypadku w PRL-u lat 50. i 60., czyli ewidentnie przedkonsumpcyjnych - świat postrzega się i rozumie całkiem inaczej, niż gdyby się było dzieckiem amerykańskiego boomu gospodarczego, który w końcu tak czy tak poznamy: „kupuję więc jestem”.

Wszystko wskazuje na to, że kapitalizm się kończy. Z tej prostej przyczyny, że świat nie jest nieskończony, a więc i wzrost ma swoje granice. Właśnie do nich dobijamy (na słynnym sympozjum w szwajcarskim St. Gallen pt. „The Limits to Growth” w roku 1972 dawano wzrostowi 40 lat).

Immanuel Wallerstein (ur. 1930), amerykański socjolog, historyk i ekonomista obserwując światowe systemy przewiduje, że „kapitalizm musi się zatkać”, że globalizacja nie oznacza końca historii (jak wieszczyl w słynnej książce o tym tytule amerykańsko-japoński politolog-ekonomista Francis Fukuyama), oznacza jedynie koniec globalnego neokapitalizmu. Co potem nastąpi, nie wiadomo, ale przedtem „świat czekają lata chaosu” (Polityka nr 1, 2013, Zygmunt Pruski „Od utopii do utopistyki” o przemysleniach Immanuela Wallersteina w książce „Utopistyka. Alternatywy historyczne dla XXI wieku”).

Jak to się ma do pytania „Czy warto wrócić do Polski?” Ano, tak, że lepiej sobie zawczasu zabezpieczyć tyły. Wprawdzie na Zachodzie nadal funkcjonują systemy świadczeń socjalnych, a i o pracę, zwłaszcza tę gorszą, łatwiej, ale wszystko wskazuje na to, że będzie raczej gorzej niż lepiej. Jak wiadomo, w krajach Europy południowej już robi się gorąco, „klasa średnia zanika, południe Europy zaczyna przypominać Amerykę Łacińską”. A to znaczy, że dopóki mamy pracę (lub zasiłek), to jest w miarę ok, ale to może się skończyć, bo, jak już się powiedziało, to nie wygląda na kryzys, a na równię pochyłą.

„Zabezpieczyć tyły”, tzn. nie żyć z dnia na dzień, nie oddawać się radosnej konsumpcji, a ograniczyć wydatki, gdzie tylko się da (np. zmienić mieszkanie na tańsze, zrezygnować z samochodu...), gromadzić „know how” i zbierać pieniądze na otworenie biznesu w Polsce/kupno mieszkania/poduszkę finansową na startowe... Oczywiście nie dotyczy to każdego Polaka w świecie, z tych 20 milionów zapewne znakomita większość nie ma najmniejszego zamiaru wracać do Polski i pytania o powrót sobie nie stawia. Ciągle odpowiadam na pytanie: „Czy warto wracać?” A to zależy też od tego, z jakiego powodu doszło do wyjazdu.

Ludzie migrują nieustannie. Od zarania dziejów. W czasach nam współczesnych ludzie opuszczają swój kraj w powodów politycznych, z powodu represji, z obawy przed represjami, a także dlatego, że wyjazd jako taki jest represją („bilet w jedną stronę”). Czasami może być i tak, że ludzie nigdzie nie wyjeżdżając zmieniają kraj zamieszkania, bo poprzesuwały się granice państw. Poza tym ludzie wyjeżdżają za chlebem, za masłem do chleba, za szynką do chleba z masłem... i za wozem do kompletu do tej kanapki... czyli z powodów materialnych.

Ale powody mogą też być natury niematerialnej. Można wyjechać za głosem serca, krwi lub w poszukiwaniu przygód, jakim jest ruszenie w świat, albo sensu życia w ogóle. Zależnie od indywidualnych potrzeb i standardów. Tym samym docieramy do tzw. piramidy Maslowa czyli piramidy ludzkich potrzeb. Bo mamy i przekrój pionowy potrzeb od materialnych po uczuciowe i duchowe (lub, jak kto woli, intelektualne).

W momencie, gdy potrzeby najbardziej podstawowe – fizjologiczne i bezpieczeństwa – są zaspokojone, odzywają się potrzeby przynależności, uznania, potrzeby i tęsknoty poznawcze i samorealizacji (na samym szczycie piramidy). Zależnie od tego, które musimy/możemy/chcemy realizować, podejmujemy decyzje o tym, gdzie i jak ma się to odbywać.

Od tego zależą też nie tylko wyjazdy, ale i powroty. I ma to, jak wiele spraw, dwa końce. Z jednego końca ludzie, którym się „nie udało” zabezpieczyć sobie życia poza granicami kraju wracają, bo wśród swoich łatwiej, z drugiego jeśli ktoś traktował wyjazd jako przygodę, to i powrót będzie dla niego przygodą. Jeśli ktoś wyjechał, żeby się realizować zawodowo, a jeszcze bardziej artystycznie, to i powrót może być wartym uwagi wyzwaniem.

Poza tym w normalniejących warunkach polityczno-gospodarczych między Polską a światem można funkcjonować w dwóch, a nawet w wielu miejscach. Na tej zasadzie wrócili do Polski tacy twórcy i artyści jak Janusz Głowacki, Urszula Dudziak, Andrzej Seweryn itd.

Jeśli ktoś wyjechał z powodów uczuciowych, to z takich samych może i wrócić.

W każdym razie zostanie gdzieś w świecie wyłącznie z powodów materialnych może okazać się na dłuższą metę unieszczęśliwiająca. Bowiem, jak wykazują badania, „im bardziej dla danej osoby liczą się pieniądze, tym niższy okazuje się poziom deklarowanego przez nią dobrego samopoczucia” (Raj Patel, „Wartość niczego. Jak przekształcić społeczeństwo rynkowe i na nowo zdefiniować demokrację”, 2009).

Z tej prostej przyczyny, że na dłuższą metę człowiekowi jednak nie chodzi li tylko o pełną miche, dach nad głową i wypasioną furę, a o miłość, rodzinę, poczucie własnej wartości, realizację twórczego potencjału, spełnienie. Czyli to, co już starożytni Grecy nazywali „eudajmonią”, szczęściem związanym raczej z rozwojem człowieka, niż z pieniędzmi. Po polsku mówimy o dobrostanie psychicznym.

Jeden Polak będzie uważał, że przenosząc się na Zachód trafił do raj, inny wręcz przeciwnie, będzie się czuł „wypędzony do raj” (jak to nazwał pisarz Krzysztof Maria Załuski w książce pod takim właśnie tytułem, nawiasem jeden z tych Polaków, którzy obrócili do kraju), a jeszcze inny (inna, bo tu umieściłabym siebie) uważa, że poznawczo każda sytuacja jest ciekawa, warto pomieszkać sobie tu i tam bez nastawiania się, że gdziekolwiek na świecie jest raj.

Jesteśmy przecież w pierwszym rzędzie mieszkańcami naszej planety, jaka by ona nie była. Nasza przynależność narodowa, czy polityczna (paszport taki czy inny) jest sprawą mniej czy bardziej umowną (czyż Gérard Depardieu nie będzie nadal Francuzem, nawet z paszportem rosyjskim w kieszeni? czy świat, w tym my nie postrzegamy Polańskiego jako Polaka?) I tu wróć do pytania, z czego my, Polacy, możemy być dumni.

My, Polacy, możemy być dumni z dorobku całej ludzkości. Tak jak każdy człowiek na świecie. Może nie zawsze sobie to uświadamiamy, ale każdy człowiek gdziekolwiek by się nie urodził, rodzi się na czubku ziemi. I każdy jest ważny. To właśnie powinniśmy przekazywać naszym dzieciom. Bo właśnie nie ustawianie się w żadnej hierarchii daje człowiekowi poczucie własnej wartości bez ujmowania jej innym.

Przyjrzyjmy się temu bliżej. Czy Peruwiańczycy mogą być dumni z Nobla dla Mario Llosy Vargasa? Jak, skoro im bardziej Peruwiańczyk, tym jest gorzej traktowany we własnym kraju (o czym z ubolewaniem pisze noblista)?

Czy peruwiański pisarz może być dumny z najstarszych zabytków swojego kraju? Z Machu Picchu na przykład? Albo ze wspaniałości Amazonii? Jak, skoro, budowniczo Machu Picchu to przodkowie tych, których w hierarchii społecznej zepchnięto na sam dół? A Amazonię zawojowano?

Czy ja, jako rodowita krakowianka, mogę być dumna z Krakowa jako „polskiego” miasta? Jak, skoro wielkość Krakowa budowali obok Polaków Włosi, Austriacy, Niemcy, Żydzi, Czesi, Szkoci nawet? A Rosjanie w '45 roku uratowali? Albo czy mogę być dumna (jako Polka) z mojego ukochanego krakowskiego pisarza Lema? Jak, skoro Lem był Żydem ze Lwowa? A może i ja jestem mieszanką różnych narodowości (o co w Galicji nietrudno)? Więc jeśli jestem Polką powiedzmy w 25% to tylko w jednej czwartej mogę być dumna z jakiegoś polskiego twórcy czy wynalazcy? Który zresztą też może okazać się mieszkańcem?

Takie narodowościowe myślenie na szczęście rozmywa się. Ludzie się ze sobą mieszają, granice zacierają. A może to zależy od języka, jakim mówimy? Tworzymy? Czy Joseph Conrad jest „bardziej” Anglikiem, czy „Polakiem”? Kto ma większe prawo do bycia dumnym z jego dorobku? I czy naród, który nie ma się czym „pochwalić” jest gorszy? Na przykład mieszkaniec Nigerii? Ale to pewnie właśnie jacyś jego przodkowie pracowali na sukces Ameryki? To on za minimalne wynagrodzenie dostarcza światu ropy naftowej...

O wiele lepiej wyposażyliśmy nasze dzieci ucząc je funkcjonowania i łączenia się w nowym, lokalno-globalnym świecie, jakim się staje, niż dzieląc i hierarchizując ludzi. Nie wiadomo, jaki los spotka nasze dzieci, na jakich ludzi trafią na swoich drogach życia, z kim będą mieć swoje dzieci...

Pozostaje więc jeszcze temat nauki, edukacji. Czy polskie szkoły są lepsze, czy gorsze od innych? Jedne rankingi mówią to, drugie tamto. Pewnie jesteśmy gdzieś w środku. Poza tym wszystko zależy od konkretnej szkoły a także po prostu nauczycieli, można mieć szczęście lub pecha do takich lub innych.

Jedno się jednak zasadniczo zmieniło: samo wykształcenie nie gwarantuje już pracy. W Hiszpanii mamy 25% młodych ludzi bez pracy, absolwentów różnych szkół. Wszystko wskazuje na to, że jest to tendencja wzrostowa w skali światowej (przynajmniej w naszej części świata). Więc jak przeżyć? Zdobywać różne umiejętności, umieć coś konkretnego zrobić, chleb, stół, sweter... Rozwijać wyobraźnię. Nie bać się trudności i niewygód. I znowu przykład z Hiszpanii: coraz więcej Katalończyków korzysta z pozarynkowej wymiany dóbr i przysług. W tym społecznościowej bankowości. To przywraca poczucie wspólnoty i zaufanie społeczne.

Ale to może spowodować wykluczanie ludzi spoza danego kręgu sąsiedzko-językowo-kulturowego. Jeśli świat miałby się zmieniać w tym kierunku, to warto stawiającym sobie pytanie o powrót do Polski wziąć i ten aspekt pod uwagę: ważny jest kontakt globalny (dzięki Internetowi ale też znajomościom języków) i przynależność lokalna (dzięki przydatnym w małym społeczeństwie umiejętnościom i sztuce współżycia z innymi).

* * *

artykuł również na stronie:

<http://powrotnik.eu/index.php/czy-warto-wrocic-do-polski-2/>